

Władysław Kąznieczo  
 Wrocław  
 ul. Świerczewskiego 94/10



## R E L A C J A

Nazywam się Władysław Kąznieczo. Urodziłem się w 1925 roku w Stubnie. Mój ojciec miał na imię Łukasz, urodził się w 1892 roku, a matka - Katarzyna urodziła się także w 1892 roku. Wraz z rodzicami i braćmi: Ludwikiem, urodzonym w 1921 roku i Franciszkiem, urodzonym w 1927 roku mieszkaliśmy w Stubnie. Stubno jest to miejscowość położona koło Przemyśla i oddalona 2 km na wschód od Sanu. Rodzina nasza posiadała tam 3 hektary ziemi, którą rodzice nabyli w latach 20-tych podczas parcelacji tych ziem. Przed wojną uczyłem się w gimnazjum w Przemyślu.

W 1939 roku na teren Polski wkroczyła Armia Czerwona. Pierwszym objawem tego, obserwowanym przeze mnie, było grabienie dworu Ludwika Myszkowskiego. Sam pan Myszkowski z rodziną zdołał uciec przed wojskami sowieckimi, jednak pozostał cały jego majątek i służba. Grabiący jego dwór żołnierze wciąż powtarzali, że przynoszą nam równość, wolność i sprawiedliwość.

Docierały do nas informacje, że wielu polskich żołnierzy dostało się do niewoli sowieckiej. Interesowaliśmy się tym, ponieważ w rodzinie zainteresowania armią były duże: ojciec i kuzyni byli w wojsku, a ja ze starszym bratem, Ludwikiem, należeliśmy do drużyn strzeleckich.

Obserwowaliśmy jak zaczęto wycinać lasy, a następnie drzewo przeznaczano na budowę szańców wzdłuż Sanu. W okresie tym żołnierze sowieccy, stacjonujący w pobliżu, często przychodzili do naszego domu i nawiązywali rozmowy. Wśród nich znajdowali się ludzie o różnych poglądach. Żołnierze w starszym wieku bez entuzjazmu odnosili się do tego co się stało, z żalem wspominali okres rewolucji i lata 30-te.

Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że jesteśmy obywatelami radzieckimi. Miały odbyć się wybory do Rady Najwyższej. Z okresu tego pamiętam rozmowy starszych z działaczami politycznymi, w których pytali jak mają wybierać skoro jest tylko jeden kandydat, dlaczego nie ma żadnej konkurencji? Działacze ci nie mieli poważne problemy z udzieleniem racjonalnych odpowiedzi.

Władysław Kozieczo  
 Wrocław  
 ul. Świerczewskiego 94/10

R E L A C J A

Nazywan się Władysław Kozieczo. Urodziłem się w 1925 roku w Stubnie. Mój ojciec miał na imię Łukasz, urodził się w 1892 roku, a matka - Katarzyna urodziła się także w 1892 roku. Raz z rodzicami i braćmi: Ludwikiem, urodzonym w 1921 roku i Franciszką, urodzoną w 1927 roku mieszkaliśmy w Stubnie. Stubno jest to miejscowość położona koło Przenysłu i oddalona 2 km na wschód od Sanu. Rodzina nasza posiadała tam 3 hektary ziemi, którą rodzice nabyli w latach 20-tych podczas parcelacji tych ziem. Przed wojną uczyłem się w gimnazjum w Przenyslu.

W 1939 roku na teren Polski wkroczyła Armia Czerwona. Pierwszym objawem tego, obserwowanym przez nas, było grabienie dworu Ludwika Myszkowskiego. Sam pan Myszkowski z rodziną zdołał uciec przed wojskami sowieckimi, jednak pozostał cały jego majątek i służba. Grabiący jego dwór żołnierze wciąż powtarzali, że przynoszą nam równość, wolność i sprawiedliwość.

Docierały do nas informacje, że wielu polskich żołnierzy dostało się do niewoli sowieckiej. Interesowaliśmy się tym, ponieważ w rodzinie zainteresowania armią były duże: ojciec i kuzyni byli w wojsku, a ja ze starszym bratem, Ludwikiem, należeliśmy do drużyny strzeleckich.

Obserwowaliśmy jak zaczęto wycinać lasy, a następnie terenowo przeznaczano na budowę szaleńców wzdłuż Sanu. W okresie tym żołnierze sowieccy, stacjonujący w pobliżu, często przychodzili do naszego domu i nawiązywali rozmowy. Wśród nich znajdowali się ludzie o różnych poglądach. Żołnierze w starszym wieku bez entuzjazmu odnosili się do tego co się stało, z żalem wspominali okres rewolucji i lata 30-te.

Na pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że jesteśmy obywatelami radzieckimi. Miały odbyć się wybory do Rady Najwyższej. Z okresu tego pamiętam rozmowy starszych z działaczami politycznymi, w których pytali jak mają wybierać skoro jest tylko jeden kandydat, dlaczego nie ma żadnej konkurencji? Działacze ci mieli poważne problemy z udzieleniem racjonalnych odpowiedzi.

Przez cały czas obserwowałem masowe wyjazdy osadników niemieckich z terenów Wołynia. Z całym dobytkiem, całe rodziny przejeżdżały przez naszą wioskę w kierunku miejscowości Radymno. Cały czas także chodziły patrole; mundurowi Kosjanie rozmawiali z nami, robili spisy i rejestry, nic jednak nie wskazywało na to, że grożą nam jakiegokolwiek represje.

W nocy, 10 lutego 1940 roku przyszedł do naszego domu patrol. Kazano nam się spakować, na co dostaliśmy 20 minut. Następnie pod bagnietami odprowadzono nas do stacji Medyka. Podobny los spotkał pozostałych osadników kolonii Stubno, a także nieszkaliców okolicznych wiosek. Na drodze do stacji Medyka utworzył się olbrzymi korowód furmanek i saní z aresztantami. Przy każdym saniu stał stójkowy z karabinem i bagnietem. Nie wolno nam było poruszać się. Wraz z bratem próbowałem uciec do znajomych, ale szybko stójkowi zorientowali się, że nas nie ma i rozpoczęli poszukiwania. Musieliśmy się - niestety - ujawnić.

Na stacji załadowano nas do wagonów towarowych. Wagon taki posiadał trzy półki, na jego środku stał piecyk żelazny, w kącie otwór na "własne potrzeby". Jechaliśmy od 10 lutego do pierwszych dni marca 1940 roku. Mijaliśmy stacje Czelabińsk, Nowosybirsk, Krasnojarsk. Podróż ta była naprawdę bardzo ciężka. Nie było wody i praktycznie nie było co jeść. Od czasu do czasu otwierali wagon na jakiejś stacyjce i pozwalali przynieść wiadro wody lub dawali wiadro zupy czy kaszy jaglanej. W tych warunkach dojechaliśmy do stacji Kamarczaga /za Krasnojarskiem w kierunku na wschód/. W Kamarczadze, w mrozie i śniegu, musieliśmy wysiadać. Przy stacji paliły się ogniska i stały sanie. Każda rodzina została zapakowana na jedno sanie, którymi wieziono nas około czterech dni w góry Bajalskie na południe od Kamarczagi. Tereny, przez które przejeżdżaliśmy, były najpierw stepowe, potem coraz bardziej leśniste i pagórkowate, w końcu dotarliśmy do górskich, porośniętych lasami rejonów. Saniami, które nas wiozły, powozili miejscowi Sybiracy oraz ukraińscy zesłańcy z lat 30-tych, z okresu kolektywizacji. W rozmowach z nimi zorientowaliśmy się, że wśród miejscowej ludności prowadzona była propaganda, że my jesteśmy krwiopijcami, kapitalistami i że wyzyskiwaliśmy robotników. W końcu dotarliśmy na miejsce. Cała nasza podróż trwała około miesiąca. W tym czasie, w tych nieludzkich warunkach zdarzały się przypadki porodów w wagonach. Wiele ludzi starszych i dzieci zmarło w drodze.

Na miejsce wraz z nami dotarło wiele rodzin ze Stubna. Były to między innymi:

- rodzina Dobrowolskich: senior Jan, synowie Roman i Michał, córka Genowefa oraz ich matka Albina /Roman potem wstąpił do armii i walczył pod Monte Cassino, a Michał pod Lenino/;
  - byli tam także winiarzowie: Jan, Władysław i Tadeusz;
  - Wigliszowie: Marcin i Aniela;
  - Sroczyk Franciszek i Maria oraz ich dzieci: Jan, Józef, Władysława i Młzbiega;
  - Ruta Walenty z żoną Marią, córką Stanisławą i synem Julianem, który obecnie mieszka w Krakowie, jest pałkownikiem w stanicie spoczynku;
  - Stopa Marian oraz Władysław i Felicja, którzy wrócili do rodzinnej wioski i nieśzkają w Stubnie;
  - Mendzela Wawrzyniec z żoną Anielą;
  - znalazła się tam także liczna rodzina Zająców: rodzice Józef i Aniela oraz dzieci: Gustaw, Ambroży, Józefa, Aniela, Maria, Kazimiera, która potem wyemigrowała do Brazylii oraz Stanisław, który znalazł się w Anglii, Feliks osiadł w Krakowie oraz Antoni - zmarł w Taszkencie;
  - Bartmanowie: Jan, Aniela - wróciła do Stubna, Franciszek.
- Oprócz rodzin ze Stubna wraz z nami na zesłaniu znaleźli się także ludzie z innych miejscowości. Byli to między innymi:
- Kopala Antoni, który obecnie uczy w Studium Wojskowym na Uniwersytecie Wrocławskim;
  - Łatusik Szczepan i Wanda - rodzice ich zginęli, a Wanda obecnie mieszka w Warszawie;
  - Szczepańscy Ignacy i Aniela z synami Józefem i Mieczysławem, który zginął pod Lenino, oraz córkami Kazimierą i Anelią;
  - Kriert Jan - zginął pod Warszawą, oraz jego syn Edward - pułkownik, mieszka w Krakowie, i jego córki;
  - Starczak Józef - był w I Dywizji, obecnie mieszka we Wrocławiu;
  - Liszkowie: Marcin i Władysław.

W miejscu, do którego nas przywieziono, zastaliśmy trzy baraki otoczone górami i lasami. Naczelnik NKWD, który przyjechał razem z nami, oznajmił nam, że tu będziemy mieszkać i mamy się rozmieszczać. Miejsce to nazywane było "siódnym wozem". Baraki zbudowane były z okorowanych belek sosnowych, przetykanych mchem. Każdy barak podzielony był na izby.

Wielkość baraku to około 30 x 40 metrów. Wewnątrz ustawione były prycze, a na środku stał żelazny piec z kominem w suficie. Jeden z baraków pełnił funkcje gospodarczo-administracyjne. W nim znajdowała się stołówka, kiosk i władza administracyjna. Posiłki były raczej skromne, a była to zwykle kasza jaglana okraszona łyżką oleju. Natomiast od jesieni do wiosny dostawaliśmy zwykle zupę, której podstawą był dziki czosnek - czeremsza.

Następnego dnia po przybyciu naczelnik, kilku mundurowych z NKWD i cywilni Rosjanie wyznaczili nam pracę. Do pracy przydzielono wszystkich w wieku od 12 do 65 lat. Nie dostaliśmy ani odzieży, ani narzędzi, a na nasze protesty Rosjanie odpowiadali: "U na takie prawo: kto nie pracuje - ten nie je." Młodzież skierowano do pracy przy paleniu gałęzi pozostałych po ścięciu sosen i odcięciu bocznych konarów. Pracowaliśmy przy mrozie 30-35-stopniowym. Starsi ludzie, zarówno kobiety jak i mężczyźni, musieli iść do pracy dużo cięższej - przy wyrębie drzewa. Do miejsca pracy było daleko, około 5-6 kilometrów, więc z baraków trzeba było wyjść o 6-tej godzinie rano, kiedy było jeszcze ciemno. Dla pracujących przy wyrębie drzewa wyznaczono normę: 6 m<sup>3</sup> drewna, za co można było kupić 80 dkg chleba. Normę tą trzeba było wykonać oczywiście w ciągu jednego dnia. Kto nie wykonał normy, otrzymywał mniej chleba - tylko 40 dkg.

Sprawy higieny i opieki lekarskiej były całkowicie zaniedbane. Było to dla nas uciążliwe, ale dopiero z nastaniem wiosny zaczęliśmy odczuwać to szczególnie dotkliwie. Baraki były zapluskwione, brakowało mydła, środków dezynfekujących itp. Opieki lekarskiej nie było w ogóle. Jeżeli ktoś zachorował, to musiał wyleczyć się sam albo umrzeć. Dużo ludzi chorowało na tyfus, który dziesiątkował mieszkańców baraków. Ludzie chorowali także na czerwonkę, co było naturalne w tak strasznych warunkach sanitarnych. Później dowiedzieliśmy się, że w barakach, w których mieszkaliśmy przez pewien czas, pogrzebani byli więźniowie zmarli w latach 30-tych. W wypadkach chorób ludzie często próbowali się leczyć sami, np. przeciw skorbutowi jedynym ratunkiem był dziki czosnek zwany czeremszą. Bardzo wielu ludzi zmarło, szczególnie ciężki był okres przełomu lat 1940/1941. Wtedy zmarli między innymi Bogdan Kutra i mój brat Franciszek.

W pracy mogliśmy kontaktować się z Rosjanami, czasami z nimi pracowaliśmy. Rosjaninem był także brygadziś, który nas nadzorował przy pracy w lesie. Człowiek ten okazał się być ofiarą podobnych "przyjemności" w latach 30-tych, dlatego też był dla nas wyrozumiały i tolerancyjny. Przy pracy bardzo często zdarzały się wypadki. Wielu ludzi ginęło przywalonych spadającymi drzewami, gdyż nie zdążyli w porę uskoczyć. Był to głównie wynik niedożywienia i wycieńczenia organizmu. W ten sposób zginęła między innymi Stasia Troczyńska.

Ludność, która początkowo przez propagandę nastawiona była do nas negatywnie, zaczęła nabierać przekonania, że nie jesteśmy takimi krwiopijcami i panami, że potrafimy pracować. Nasze stosunki z miejscową ludnością układały się coraz lepiej. Ojciec mój wraz z sąsiadem pomogli wozakom, którzy zwozili drzewo z gór, udoskonalić samie tak, aby drzewo nie kaleczyło koni, czym pozyskali sobie zaufanie tych ludzi.

Na wiosnę poradzono nam, abyśmy posadzili sobie ziemniaki, aby potem mieć co jeść. Lato minęło, a my wciąż pracowaliśmy. Jesienią mnie, ojca i brata Ludwika razem z innymi mężczyznami przeniesiono do innych baraków, oddalonych od "baraku siódnego" o około 5 kilometrów. Matka z młodszym bratem została w starym baraku. Dostaliśmy jednak pozwolenie, aby w niedzielę wracać do "siódnego baraku", aby zobaczyć się z rodziną. W okresie, kiedy zostaliśmy przeniesieni, zmarł mój młodszy brat - Franciszek. Trudno mi powiedzieć kiedy to było, ale wydaje mi się, że to był 1 lub 2 września 1940 roku.

Po pewnym czasie przeniesiono nas do innych baraków, do miejscowości Oreszne. Tam mieściła się dyrekcja przedsiębiorstwa, dla którego pracowaliśmy cały czas, od samego początku. Było to Bańdzajskie Zmechanizowane Gospodarstwo Leśne. Przedsiębiorstwo to nie prowadziło racjonalnej gospodarki, nie dbało o lasy, a jedynym celem było pozyskanie jak największej ilości drewna. Przed nami, dla tego przedsiębiorstwa, pracowali inni więźniowie - głównie z Ukrainy. Znajdowali się teraz pod bokiem zarządu przedsiębiorstwa, a także naszych nadzorców. Głównym nadzorcą z ramienia NKWD był Pletniew, natomiast nadzór milicyjny sprawował Każanin. Starsi ludzie często wdawali się w dyskusje z miejscowymi milicjantami, prawie każdy brygadziśta był tzw. "uchem władz i okiem władz". Na wspomnienia o naszym powrocie do Polski wszyscy oni reagowali dużym powątpiewaniem.

W 1941 roku razem z ojcem przeszliśmy do pracy w kuźni. Wszyscy byli bardzo zdziwieni, że w tak prymitywnych warunkach potrafimy wykonać rzeczy, o których oni nie mieli pojęcia. Pracując w kuźni mieliśmy kontakty z całym "naczalstwem", ponieważ cały transport opierał się na koniach, wykonywaliśmy także drobne prace na ich prywatne potrzeby, np. noże itp. Spotykaliśmy się tam prawie z wszystkimi pracownikami przedsiębiorstwa. Pracował tam weterynarz Mardasiewicz, który przyznawał się do swego polskiego pochodzenia. Był to człowiek bardzo uczciwy i pozytywnie do nas ustosunkowany, później jednak został powołany do wojska.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej stała się rzecz nieoczekiwana: zaostrzono niesamowicie rygor wobec nas. Odizolowano nas całkowicie od miejscowej ludności. O ile przedtem mogliśmy kontaktować się z miejscową ludnością, wymienialiśmy towary, czasami kupowaliśmy żywność, to teraz kontakty te zerwały się całkowicie. Nawet Rosjanie, z którymi pracowaliśmy, zostali od nas odsunięci. Stworzono nad nami ścisły nadzór, którego przedtem prawie w ogóle nie było. Początkowo mówiono o wielkich zwycięstwach strony radzieckiej, potem jednak zaczęły do nas dochodzić informacje o wycofywaniu się wojsk radzieckich. Zauważyłem wtedy, że bardzo wielu Rosjan powołanych zostało do wojska. Pomimo, iż z wybuchem wojny warunki bytowe znacznie się pogorszyły, my pracując w kuźni, pozostaliśmy w dość dobrej sytuacji. Często przychodził do nas pan Prugar, który miał czworo dzieci i chore nogi. Sam nie był w stanie wyżywić swojej rodziny i często pomagaliśmy mu dając namę, zboże itp. Dzięki naszej pomocy dzieci jego przeżyły, za co wielokrotnie przy późniejszych spotkaniach nam dziękował.

Po pewnym czasie od wybuchu wojny dowiedzieliśmy się, że między Związkiem Radzieckim a Polską zawarte zostało porozumienie, a my objęci zostaliśmy amnestią. Od razu nastąpiła zmiana nastrojów, jednak nadal odnoszono się do nas z nieufnością. Wkrótce otrzymaliśmy dokumenty amnestyjne i musieliśmy wybrać: albo jazda do formującej się armii, albo przeniesienie do pracy bliżej stacji, ponieważ po rozpoczęciu wojny pogorszyło się zaopatrzenie. W 1941 roku bardziej przedsiębiorczy ludzie ruszyli do armii generała Andersa. Tam zaczęły się tragedie - wiele osób, nie mogąc dojechać, wracało lub umierało w drodze z głodu czy na tyfus. Do armii dostał się Romek Dobrowolski i gdy pojechał na rekonesans, napisał list.

Radził nam wszystkim, aby się nie ruszać. Pisał, że to, co on przeszedł w drodze do armii, było straszne, że z wagonów wiozących przesiedleńców wracających ze wschodu wyrzuca się mnóstwo trupów.

Rodzice noi zdecydowali, że tymczasowo przeniesieni się gdzieś bliżej stacji kolejowej, ale nie będziemy wracać do kraju. Opuściliśmy przedsiębiorstwo i przeniesiliśmy się do kołchozu "Krasnaja Tajga" koło wsi Kołba. Razem z nami znalazły się tam także inne polskie rodziny. Były to między innymi:

- rodzina Szczepańskich: Ignacy, Aniela i ich dzieci, którzy nieszkali z nami przedtem w barakach;
- bednarzowie z dziećmi: Tadeuszen i Malwiną;
- czteroosobowa rodzina Koźbiałków;
- Bogdanowie: Józef z żoną i dziećmi: Janiną i Bronisławą oraz z synem, który potem zginął pod Lenino;
- Prugar Wilhelm - późniejszy działacz Związku Patriotów Polskich - po powrocie nieszkął w Kołobrzegu /Stojnowo poczta Dygowa/ - żona Stefania i czworo dzieci;
- Kochanowie rodzice z dziećmi: Czesławą, Adamem - późniejszy wykładowca w szkole oficerskiej w Żgierzu - i Bolesławem, który zginął w czasie wojny;
- Rybinka Franciszek z żoną zmarli w Taszkencie, a ich syn Stanisław dostał się do armii, walczył pod Monte Cassino, a potem wymigrował do Kanady.

Przenosząc się, nie obawialiśmy się o pracę, ponieważ na rzemieślnika takiego jak kowal było duże zapotrzebowanie. W kołchozie byliśmy od stycznia 1942 roku. W styczniu 1943 r. wezwano nas z kilkoma innymi osobami z rodzin polskich. NKWD każało nam oddać paszporty, ponieważ mieliśmy być znowu obywatelami radzieckimi. Próbowaliśmy protestować. Ja naraziłem się bardzo odmawiając oddania paszportu. Udałem się do rejonu, gdzie urzędował delegat ambasady polskiej. Było to w miejscowości szala, około 100 kilometrów od Kanarczagi. Kytalen, co robić, gdy każą nam oddać paszporty i grożą represjami. Delegat odpowiedział, że niewiele może nam pomóc, że jako przedstawiciel ambasady także ma podobne kłopoty. Mówił, że jeździł do Krasnojarska, gdzie Polacy także mieli kłopoty, wynikające z nieporozumień między władzami polskimi i radzieckimi.



Sytuacja taka trwała do połowy marca 1943 roku, wtedy zażądano od nas zwrotu dokumentów. Ja zdecydowanie odmówiłem i zbuntowałem się. Zostałem zatrzymany i zabrany do rejonu, gdzie trzymano mnie przez kilka dni. Oświadczyłem tam, że dokumentu nie oddam, nie będę pracował i jeżeli nie dadzą mi jedzenia, to umrę z głodu. W odpowiedzi na to dokument zabrano mi siłą, dano mi 0,5 kg chleba i kazano wracać do kółchozu. Wróciłem.

Gdy powołano do wojska ludzi, w przedsiębiorstwie leśnym zabrakło pracowników., zwłaszcza na splawie drewna. Do naszego kółchozu przyszło polecenie, aby wydelegować kilka osób do tej pracy. Po jednym dniu pracy na splawie zbuntowałem się i powiedziałem, że więcej tam nie będę pracował, ponieważ jest to zbyt niebezpieczna praca. Znowu groziło mi aresztowanie. W związku z tym postanowiłem zaciągnąć się do tworzącej się polskiej armii. Zgłosiłem się do wojenkonatu. Nie chcieli mnie tam przyjąć z powodu mojego młodego wieku, jednak po trzech dniach oczekiwania razem z innymi ludźmi z kółchozu otrzymałem skierowanie i pojechaliśmy do armii. Już w końcu maja 1943 r. znalazłem się w obozie sieleckim.

W czasie trwania wojny ludność oczekiwała na jakieś decydujące rozstrzygnięcia. Większość wierzyła w zwycięstwo Niemiec. Ja, będąc w wojsku, zaobserwowałem, że gdyby nie pomoc Stanów Zjednoczonych, to Związek Radziecki nie wygrałby tej wojny. Cały transport opierał się na amerykańskich samochodach i paliwie, także większość żywności /mięsa/ pochodziła z Ameryki. Ludność oczekiwała, że to wszystko "rozleci się". Było także bardzo dużo dezercerów. Zjawisko dezercji zauważyłem jeszcze na zesłaniu, gdzie w lasach w okolicach Kołby ukrywało się wielu powołanych do wojska, a także zbiegłych z frontu.

Podczas mojego pobytu w wojsku prowadzona była agitacja na wielką skalę. Ja, młody chłopak, skory byłem do przekory i często próbowałem podejmować dyskusje na temat 17 września, sprawy naszego zesłania itp. Przełożeni natomiast mieli często kłopoty z udzieleniem logicznych odpowiedzi. W związku z moimi skłonnościami do dyskusji interesowała się moją osobą informacja wojskowa. W armii służyłem w 7 pułku III Dywizji pod dowództwem generała Stanisława Galickiego. Generał Galicki pomimo, że był Rosjaninem, oficjalnie przyznawał się do świątego polskiego pochodzenia. Później, w okresie walk o Warszawę, został skierowany do szpitala psychiatrycznego.

Z okresu mojej służby wojskowej szczególnie w pamięci utkwiły mi wydarzenia pod Warszawą. Na początku września 1944 roku nasze oddziały były już na lewym brzegu Wisły, nad Pilicą, w odległości 60 kilometrów od Warszawy. Widzieliśmy jak Warszawa płonie, jak wojsko chce iść na pomoc, ale trzeba było stać w miejscu. Mogliśmy wtedy wejść do Warszawy od południa i odciąć drogę Niemcom, ale 11 września cofnięto nas na prawy brzeg Wisły, aby forsować Wisłę naprzeciw Czerniakowa. Atakowaliśmy 15 września, niosąc pomoc warszawskim powstańcom. 22 września pułk nasz wycofano z Pragi i wtedy właśnie generała Galickiego skierowano do szpitala.

Obecnie mieszkam we Wrocławiu i jestem działaczem Związku Sybiraków.

Wrocław, dnia 10 lipca 1989 r.